

## *Koza Złotka*

---



**W** porze Chanuki drogę z wioski do miasta zwykle pokrywa śnieg, ale tego roku zima była wyjątkowo łagodna. Chanuka była już blisko, a śniegu wciąż jak na lekarstwo. Przez większość dnia świeciło słońce. Wieśniacy biadali, że z powodu suszy ozimina będzie licha i zbiory marne. Pojawiła się nawet świeża trawa i wypędzono bydło na pastwisko.

Dla kuśnierza Rubena był to wyjątkowo zły rok. Wahał się długo, ale w końcu postanowił sprzedać swoją kozę Złotkę. Była już stara i dawała mało mleka. Fajwel, rzeźnik z miasteczka, dawał za nią osiem guldenów. Za takie pieniądze można było zakupić chanukowe świece, ziemniaki i olej na placki, podarunki dla dzieci i inne rzeczy niezbędne w domu na święta. Ruben kazał swojemu synowi Aaronowi zaprowadzić kozę do miasteczka.

Aaron wiedział, co to oznacza, ale musiał być posłuszny ojcu. Lea, jego matka, otarła łzę z oka, kiedy o tym usłyszała. Anna i Miriam, młodsze siostry Aarona, rozplakały się głośno. Aaron włożył watowaną kurtkę i czapkę z nausznikami, zawiązał sznurek na szyi Złotki i schował do kieszeni dwie kromki chleba przełożone serem. Miał dotrzeć do miasteczka wieczorem, spędzić noc u rzeźnika i wrócić z pieniędzmi następnego dnia.

Rodzina pożegnała się z kozą, a Aaron chwycił za sznurek. Złotka była spokojna jak zawsze. Polizała rękę Rubenowi i potrząsnęła białą

bródką. Ufała ludziom. Wiedziała, że zawsze będą ją karmić i nigdy nie zrobią krzywdy.

Kiedy Aaron wyprowadził ją z wioski na drogę wiodącą do miasteczka, Złotka trochę się zdziwiła. W tym kierunku jeszcze nigdy jej nie prowadzono. Spojrzała na chłopca, jakby chciała zapytać: „Dokąd mnie prowadzisz?”, ale widocznie szybko doszła do przekonania, że koza nie powinna zadawać pytań, bo poszła za nim posłusznie. Tej drogi jeszcze nigdy nie widziała. Mijali nieznanne jej pola, pastwiska i pokryte strzechami chaty. Tu i ówdzie zza zagrody wybiegał pies i gonił ich, ujadając, ale Aaron odpędzał go kijem.

Kiedy wychodzili z wioski, świeciło słońce, lecz nagle pogoda się zmieniła. Na wschodzie pojawiła się wielka czarna chmura, granatowa w środku, która szybko pokryła całe niebo. Powiał zimny wiatr. Wrony latały nisko, kracząc. Z początku wydawało się, że lunie deszcz, ale sypnęło gradem jak w lecie. Mimo że pora była wczesna, pociemniało. Po chwili grad zamienił się w śnieg.

W ciągu swoich dwunastu lat Aaron przeżył już różne pogody, ale takiej zamieci jeszcze nigdy nie widział. Śnieg sypał tak gęsto, że pochłonął całe światło dnia. Wkrótce krętą i wąską drogę całkiem zasypało. Aaron stracił orientację. Nic już nie widział, a lodowaty wiatr z łatwością przenikał przez jego watowaną kurtkę.

Z początku ta zmiana pogody nie zdawała się robić na Złotce wrażenia. Ona też przeżyła już dwanaście lat i wiedziała, co to zima. Ale kiedy jej nóżki zaczęły się coraz głębiej zapadać w śnieg, coraz częściej odwracała głowę, by spojrzeć na Aarona zdumionym wzrokiem, jakby się pytała: „Dlaczego jesteśmy na dworze w tak straszną śnieżycę?” Aaron miał nadzieję, że może pojawi się jakiś chłopski wóz, ale czas mijał, a nikt nie nadjeżdżał.

Śnieg sypał coraz gęściej, opadając na ziemię wielkimi, wirującymi płatami. Aaron poczuł pod podszewkami miękkiej, zaoranej ziemi. Zdał sobie sprawę, że zszedł z drogi. Zabłądził. Już nie wiedział, gdzie jest wschód albo zachód, w którym kierunku jest wioska, a w którym miasteczko. Wiatr pogwizdywał, wył, miotał kłębamii śniegu, jakby białe chochliki bawiły się w berka po polach. Złotka stanęła. Nie miała sił ani ochoty iść dalej. Zaparła się w miękkiej ziemi rozszczępionymi kopytkami i zabeczła, jakby błagając, by wrócili do domu. Z jej białej brody zwisały sopolki, a rogi pokryła warstwa lodu.

Aaron nie chciał się przyznać przed samym sobą, że sytuacja zaczyna być groźna, ale wiedział, że jeśli nie znajdą jakiegoś schronienia, mogą zamarznąć na śmierć. To nie była zwykła śnieżna burza. To była straszna zamieć. Śnieg sięgał mu już do kolan. Ręce mu zdrętwiały, nie miał czucia w palcach nóg. Krztusił się, wdychając mroźne powietrze. Nos miał jak z drewna, więc zaczął rozcierać go śniegiem. Złotka beczała rozpaczliwie. Ludzie, którym tak ufała, zaciągnęli ją w straszną pułapkę. Aaron zaczął się modlić, błagając Boga o litość nad sobą i nad niewinnym zwierzęciem.

Nagle w śnieżnej kurzawie dostrzegł zarys jakiegoś pagórka. Co to może być? Kto usypał ze śniegu taką górę? Ruszył ku niej, ciągnąc za sobą Złotkę, i wkrótce zrozumiał, że to wielki stóg siana pokryty śniegiem.

A więc są uratowani! Z wielkim trudem przekopał się przez grubą warstwę śniegu. W końcu był wiejskim chłopcem i wiedział, co robić. Dokopał się do siana i wydrążył w nim jamę dla siebie i kozy. Na dworze może być straszny mróz, ale w sianie zawsze jest ciepło. A kozy lubią siano. Gdy tylko Złotka poczuła jego miłą woń, ucieszyła się i zaczęła jeść. Na zewnątrz śnieg nadal padał i wkrótce zasypał korytarz wykopany przez Aarona. Żeby było czym oddychać, chłopiec wydrążył w sianie i w śniegu małe okienko. Trzeba było tylko wciąż dbać, żeby go śnieg nie zasypał.

Złotka, najadłszy się do syta, przysiadła na tylnych nogach i jakby odzyskała zaufanie do człowieka. Aaron zjadł dwa kawałki chleba z serem, ale po takich trudach wciąż mu było mało. Spojrzał na Złotkę i zobaczył, że ma pełne wymię. Położył się obok niej i zaczął ją doić, podstawiając otwarte usta pod strumyk mleka. Było gęste i słodkie. Złotka nie przywykła, by ją doiono w takich warunkach, ale się nie opierała. Przeciwnie, sprawiała wrażenie, jakby chciała odwdzińczyć się chłopcu za to, że przyprowadził ją do kryjówki, której ściany, podłoga i sufit zrobione były ze smacznego pożywienia.

Przez maleńki otwór widać było, co się dzieje na zewnątrz. Wiatr pędził przed sobą wielkie tumany śniegu. Było zupełnie ciemno i Aaron nie wiedział, czy to już noc, czy mrok śnieżnej zawieci. Dzięki Bogu w sianie mróz nie doskwierał. Suche źdźbła trawy i polne kwiaty zachowały w sobie ciepło lata. Co jakiś czas Złotka pojadała z ochotą; skubała siano nad sobą i pod sobą, na prawo i na lewo. Jej ciało wydzielalo miłe ciepło

i chłopiec przytulił się do niej. Zawsze ją kochał, ale teraz czuł się tak, jakby była jego siostrą. Zaczął nawet z nią rozmawiać.

— Złotko, jak myślisz, co się nam przydarzyło? — zapytał.

— Meeee — odpowiedziała Złotka.

— Jakbyśmy nie znaleźli tego stogu siana, zamarzlibyśmy na kamień.

— Meeee...

— Jak ten śnieg będzie nadal tak padał, może będziemy musieli pozostać tu kilka dni.

— Meeee!

— Co znaczy „meeee”? — zapytał Aaron. — Mogłabyś wyrażać się jaśniej.

— Meeee, meeee — spróbowała Złotka.

— No dobrze, niech ci będzie „meeee” — rzekł cierpliwie Aaron.

— Nie potrafisz mówić, ale cię rozumiem. Ja potrzebuję ciebie, a ty mnie. To chciałaś powiedzieć?

— Meeee.

Aaronowi zachciało się spać. Zrobił sobie poduszkę z siana, złożył na niej głowę i zasnął. Złotka poszła za jego przykładem.

Kiedy otworzył oczy, nie wiedział, czy to poranek, czy jeszcze noc. Śnieg zasypał okienko. Próbował je odgrzebać, ale nawet kiedy wydrążył dziurę na długość ramienia, wciąż natrafiał palcami na śnieg. Na szczęście miał kij i zdołał nim przebić się na zewnątrz. A tam wciąż było ciemno. Śnieg nadal padał, a wiatr wył, raz jednym głosem, raz wieloma. Czasem brzmiało to jak diabelski chichot. Złotka też się przebudziła, a kiedy Aaron ją powitał, odpowiedziała: „Meeee”. Tak, język Złotki składał się z jednego tylko słowa, ale mogło ono wiele oznaczać. Tym razem mówiła: „Musimy przyjąć wszystko, co Bóg nam zsyła — gorąco i zimno, głód i sytość, światło i ciemność”.

Aaron obudził się głodny. Chleba już nie było, ale Złotka miała mnóstwo mleka.

Siedzieli w stogu siana przez trzy dni. Aaron zawsze kochał Złotkę, ale w ciągu tych trzech dni pokochał ją jeszcze bardziej. Karmiła go swoim mlekiem i ogrzewała ciałem. Dodawała mu otuchy swoim spokojem. Opowiadał jej wiele historyjek, a ona przekrzywiała łeb i cierpliwie słuchała. Kiedy ją głaskał, lizała mu rękę i twarz, a potem mówiła: „Meeee”, a on wiedział, że to znaczy: „Ja też ciebie Kocham”.

Śnieg padał przez trzy dni, choć już drugiego dnia nie tak gęsto, a i wiatr jakby osłabł. Czasami Aaronowi zdawało się, że nigdy nie było lata, że śnieg pada od zawsze, że nigdy nie miał ojca, matki i sióstr. Jest dzieckiem śniegu, narodzonym ze śniegu. A Złotka jest jego śniegową siostrą. W ciepłej jamie wydrążonej w stogu było tak cicho, że aż w uszach buczało. Aaron i Złotka przesypiali całą noc i dużą część dnia. Aaronowi wciąż śniła się dobra pogoda. Śnił o zielonych polach, o drzewach obsypanych kwieciami, o czystych potokach i śpiewających ptakach. Trzeciej nocy śnieg przestał padać, ale Aaron bał się szukać po ciemku drogi do domu. Niebo wyjaśniało, pojawił się księżyc, zarzucając srebrne sieci na śnieg. Aaron przekopał się na zewnątrz i spojrzął na świat. Naokoło było białe i cicho, wielkie gwiazdy mrugały jakby z bliska, księżyc żeglował po niebie jak po morzu. Poczul się, jakby wciąż śnił, jakby to wszystko, co go otaczało, było jakimś cudownym, niebiańskim snem.

Rankiem czwartego dnia Aaron usłyszał podzwanianie dzwoneczków u sań. Droga była blisko. Chłop, który powoził saniami, pokazał mu drogę — nie do miasteczka i rzeźnika Fajwela, ale do wioski. Już w stogu Aaron postanowił, że nigdy nie rozstanie się ze Złotką.

Rodzina Aarona i ich sąsiedzi wyprawili się na poszukiwanie chłopca i kozy, ale śnieżycą zasypała wszystkie ślady. Wrócili do domu pewni, że chłopiec zaginął. Matka i siostry już go oplakiwały, ojciec siedział w milczeniu, z ponurą twarzą. Nagle przybiegł sąsiad i powiedział, że drogą nadchodzi Aaron z kozą.

Zapanowała wielka radość. Aaron opowiedział im, jak znalazł stóg i jak Złotka karmiła go swoim mlekiem. Siostry wycalowały i uściskały kozę, a potem dały jej kilka marchewek i obierzyny z ziemniaków, które Złotka schrupała z wielkim smakiem.

Nikt już nawet nie wspominał o sprzedaniu Złotki. Nastąpiła prawdziwa zima i w wiosce znowu pojawiło się zapotrzebowanie na usługi kucharza Rubena. Kiedy nadeszła Chanuka, matka Aarona mogła co wieczór smażyć ziemniaczane placki. Nie zabrakło porcji dla Złotki. Choć zwykle przebywała we własnej szopce, często przychodziła do kuchni, stukając rogami w drzwi, i zawsze wpuszczano ją do środka. Wieczorami Aaron, Miriam i Anna grali w drejdlę. Złotka siedziała koło pieca, obserwując dzieci i migocące chanukowe świece.

Zdarzało się, że Aaron spoglądał na nią i pytał:

— Złotko, pamiętasz te trzy dni, które spędziliśmy razem?

A Złotka drapała się rogiem po karku, potrząsała białą bródką i wydawała z siebie ten jedyny odgłos, który wyrażał wszystkie jej myśli i całą jej miłość.